

# DZIENNIK WILEŃSKI

## Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:  
Aleksander Zwierzyński

### Międzynar. wystawa sztuki religijnej w Rzymie

W czterdziestu dziewięciu salach wspaniałego Pałacu Sztuki Współczesnej w Rzymie otwartą została w lutym br. wystawa sztuki religijnej.

Podczas gdy w pierwszej tego rodzaju wystawie, przed trzema laty, brali udział wyłącznie tylko artyści włoscy, — to obecna wystawa ma charakter międzynarodowy: obejmuje ona blisko dwa tysiące dzieł artystów rozmaitych narodowości. W szczególności reprezentowane są na wystawie: Austria, Francja, Niemcy, Polska, Włochy, Węgry, Szwajcaria i Czechosłowacja.

Ze zorganizowanie tego rodzaju wystawy było rzeczą wskazaną, a nawet pilną, — na tym punkcie opinia sfer kościelnych jest zupełnie zgodna. Pod wpływem bowiem nowych kierunków w sztuce, zwłaszcza naturalizmu, artyści w kompozycjach swych coraz bardziej oddalali się od tych zasadniczych kanonów liturgicznych, które stanowią jedyną podstawę kryterjum w zakwalifikowaniu danego obrazu, rzeźby czy witrażu jako dzieła sztuki kościelnej.

Stąd nieporozumienie i pogłębiający się ustawicznie rozdział między klerem a światem artystycznym, — rozdział, sprawiający, że — prócz nielicznych wyjątków — dzisiejsza „sztuka religijna“ znajduje miejsce raczej na wystawach obrazów, niż w świątyniach Bożych.

Wystawa rzymska daje artystom możliwość wypowiedzenia się, — ułatwia im kontakt bezpośredni ze sferami kościelnymi i wreszcie pozwala zorientować się jednej i drugiej stronie, co na tem polu dotychczas zrobiono, co jeszcze pozostaje do zrobienia, względnie zmodyfikowania.

Urządzenie wystawy w tych rozmiarach nie było rzeczą łatwą: świadczy o tem już sam fakt, że blisko dziewięćdziesiąt procent z nadesłanych dzieł „jury“ wystawowe zmuszone było odrzucić, a mimo to przewodniczący komitetu wystawowego hr. Vecchi di Val Cismon sam przyznaje, iż wśród eksponatów jest jeszcze dużo rzeczy słabych.

Do najsłabszych należą dzieła, wystawione przez Zakony OO. Jezuitów, Franciszkanów i Dominikanów, — dzieła, które nie podlegały uprzedniej ocenie „jury“. Są to przeważnie kopie lub naśladowictwa dzieł sztuki starożytności, rzeczy suche, banalne. Jedynym korzystnym wyjątkiem są dzieła Dominikanina O. Maurycego Denis.

Z malarzy polskich biorą udział w wystawie: prof. Mehoffer, Sichulski i Rosen, którego szkice do fresków w letniej siedzibie Ojca św., Castel Gandolfo, zajmują całą ścianę.

Bogato reprezentowana jest twórczość artystów austriackich (Fischer,

Rosa Reinhold, Wagner von der Müller, Ullmann, André, Böckl). W zakresie nowoczesnej architektury kościelnej interesujące są zdjęcia kościołów projektu prof. Holzmeistera.

Również i Niemcy obesłali obficie wystawę, dając w pierwszej linii liczne zdjęcia kościołów budowanych w okresie inflacji. W malarstwie i rzeźbie nie stworzyli nic specjalnie oryginalnego.

Bardzo interesująco przedstawia się dział węgierski. Młodzi artyści węgierscy, studjujący w węgierskiej Akademii w Rzymie, sale oddane im do dyspozycji zamienili w rodzaj kościółka, którego wnętrze zajmują odpowiednio rozmieszczone obrazy, rzeźby, witraże, stacje Drogi Krzyżowej, nawet sprzęty kościelne. Pomysł bardzo rozsądny i celowy, — w tem cłoczeniu dopiero każdy przedmiot nabiera właściwego znaczenia i pozwala na właściwą ocenę. Toteż

oddział węgierski, dzięki temu oryginalnemu, a racjonalnemu rozmieszczeniu eksponatów, robi najsilniejsze wrażenie. A to tembardziej, że i architektura wnętrza, pojęta zupełnie w duchu nowożytnym, jest zupełnie oryginalna, — i eksponaty stoją przeważnie na wysokim poziomie artystycznym: piękne a oryginalne malowidła P. Molnara, witraże L. Arkay, rzeźby Liwji Kuzmik itd.

W oddziale włoskim zwracają uwagę wspaniałe hafty z Asyżu, majoliki z Perugii i Salerno, witraże i piękny ołtarz majolikowy z Faenzy z ornamentami w stylu archaistycznym.

Niemniej interesującą jest retrospektywna wystawa sztuki kościelnej.

Dużo stosunkowo miejsca zajmują plany, szkice i fotografie kościołów, pojętych w duchu współczesnej, najnow-

szej architektury. I słusznie: o ile bowiem idzie o renesans sztuki kościelnej, to właśnie budownictwo dzisiejsze daje do tego najwięcej sposobności. Dużo przestrzeni i światła, pewna prostota i surowość stylu, jasne, gładkie ściany, nie przeciążone żadnymi ornamentami, stanowią wręcz wymarzone tło dla obrazów, fresków, rzeźb i mozaik, przedstawiających sceny z życia Chrystusa, N. M. Panny i Świętych, tego wiecznego żywego źródła, z którego od wieków czerpią natchnienie wielcy artyści. Projekty te i fotografie stanowią najlepszy dowód, że sztuka dzisiejsza da się w pełni pogodzić z wymaganiami Kościoła, — że i dzisiejszy artysta, idąc z postępem czasu, potrafi stworzyć dzieła piękne i wartościowe, będące dokumentem epoki, a zasługujące równocześnie w całej pełni na miano domów Bożych.

Klasycznym tego przykładem jest właśnie ów kościółek węgierski, pełen pogodnej harmonii w swej nowoczesnej prostocie.

(R.)

## Zatrucia tlenkiem węgla

Nowoczesna chemja gazów bojowych klasyfikuje je na kilka zasadniczych grup, zależnie od działania danego gazu na organizm ludzki, od składu chemicznego i rodzaju fabrykacji.

Klasyfikacja ta inaczej się przedstawia w ujęciu chemika, czy technologa, — a inaczej w pojęciu lekarza, którego zadaniem jest nieść pomoc ofiarom zatrucia. We wszystkich jednak tego rodzaju podziałach figuruje osobna grupa „gazów bojowych“, składająca się z kwasu pruskiego i tlenku węgla, a określoną mianem „chemicznych środków duszących“, względnie, wedle terminologii Dadleza i Koskowskiego, mianem gazów „porażających oddechanie tkankowe“.

Tak więc i tlenek węgla uważany jest powszechnie za „gaz bojowy“, — jakkolwiek w ostatniej wielkiej wojnie nie był on nigdy stosowany jako środek walki ofensywnej, ani też prawdopodobnie w tym charakterze nigdy stosowany nie będzie.

Mimo to jest tlenek węgla groźnym i niebezpiecznym wrogiem żołnierza na froncie, — tem groźniejszym, że jest to gaz zupełnie bezwonny i bezbarwny o skomplikowanym, a perfidnym działaniu.

Wytwarza się on w większych ilościach przy wybuchu pocisków, a działanie jego staje się szczególnie niebezpieczne, gdy wybuch nastąpi w miejscach zamkniętych, na ograniczonej stosunkowo przestrzeni, a więc np. wewnątrz czołgów, w chodnikach minowych podziemnych, w schronach karabinów maszynowych, pociągach pancernych i t. p.

Ale i w życiu codziennym zatrucia tlenkiem węgla nie należą do rzadkości. Należą tu tak częste wypadki zaczadz-

nia oraz zatrucia gazem świetlnym (w skład którego wchodzi stale tlenek węgla) i wreszcie zatrucia gazami wydobywającymi się z motorów benzynowych w zamkniętych garażach samochodowych.

Dlatego omówienie objawów zatrucia oraz środków zapobiegawczych i leczniczych zainteresuje nie tylko fachowców.

Jak już wspomnieliśmy, tlenek węgla jest gazem bezwonnym i bezbarwnym, lżejszym od powietrza. Wywiązuje się on skutkiem niedoświadczenia i zupełnego spalania węgla.

W działaniu swem nie uszkadza bezpośrednio dróg oddechowych ani tkanki płucnej; łączy się on natomiast z hemoglobina krwi, uniemożliwiając w ten sposób przenoszenie tlenu do tkanek organizmu. Następstwem tego jest niedostateczne utlenienie krwi, co w rezultacie doprowadzić może do porażenia ośrodków oddechowych i serca.

Na szczęście tlenek węgla nie działa szkodliwie ani na czerwone ciała krwi, ani na mięsień sercowy. O ile zatem przywrócimy w porę dopływ tlenu i świeżego powietrza, — we krwi pojawia się z powrotem oksyhemoglobina, a uwolniony przez ten proces tlenek węgla zostaje przy oddechaniu wydalony na zewnątrz.

W zatruciu ciężkim pierwszemi objawami są zawrót i ból głowy, coraz silniejszy, połączony ze szumem w uszach, łzawieniem i osłabieniem wzroku.

W dalszym ciągu przychodzi ogólne osłabienie, senność i utrata władzy w rękach i nogach. Zatruty zdaje sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa,

nie może jednak zdobyć się na ten wysiłek, aby ratować się ucieczką.

O ile pomoc nie przyjdzie na czas, zatruty traci przytomność; przychodzą drgawki i wymioty, mogące niejednokrotnie doprowadzić do uduszenia się. Oddech staje się ciężki, chrapliwy, tętno słabnie coraz bardziej, — aż wreszcie i serce ustaje w pracy.

W wypadkach lżejszych objawy są podobne, jednak zazwyczaj nie dochodzi do utraty przytomności.

Po wyleczeniu jeszcze przez długi czas trwają, nieraz bardzo poważne i przykre, zaburzenia systemu nerwowego, jak histerja, neurastenja, częściowa utrata pamięci, upośledzenie władz umysłowych itp.

Jak zabezpieczyć się przed tlenkiem węgla i jego zabójczym działaniem?, oto pierwsze, zasadnicze pytanie. Nieocenione przysługi oddają tu człowiekowi małe zwierzątka, przedewszystkiem kanarki i myszy. Toteż obecnie w kopalniach, a podczas wojny w okopach, dla wykrywania nadmiernej obecności tlenku węgla używano kanarków, opierając się na znanym we fizjologii fakcie, że małe zwierzątko zużywa w stosunku do wagi swego ciała znacznie więcej tlenu niż człowiek, zaczem w zatrutej atmosferze ginie też znacznie wcześniej od człowieka. I tak atmosfera tlenku węgla, w której kanarek ginie już po pięciu minutach, staje się niebezpieczną dla człowieka dopiero po całonocnym pobycie.

Skonstruowano też specjalne maski gazowe, chroniące przed zatruciem tlenkiem węgla. Maski te zawierają specjalny katalizator, zwany „hopkalitem“ od nazwiska wynalazcy, amerykańczaka Johna Hopkinsa. Jest to mieszanina tlen-

ków manganu, srebra, miedzi i kobaltu, przyspieszająca bardzo wydatnie reakcję chemiczną, polegającą na powstawaniu dwutlenka węgla pod działaniem tlenu zawartego w powietrzu.

Maski te posiadają też warstwę chloru wapniowego, absorbującego wodę, która wpływa niszcząco na działanie „hopkalitu“.

Srodki te prewencyjne mają zastosowanie zasadniczo tylko podczas wojny. Nas interesuje raczej kwestja, jak należy ratować zatrutego tlenkiem wę-

gla w pierwszej chwili, przed przybyciem lekarza.

Najważniejszą, pierwszą czynnością będzie usunięcie zatrutego z atmosfery tlenku węgla, przeniesienie go na świeże, czyste powietrze. W cięższych wypadkach trzeba podać do oddechania tlen z domieszką 5% bezwodnika węglowego. Jeżeli ruchy oddechowe ustają, — stosować trzeba sztuczne oddechanie, nie zrażając się początkowym niepowodzeniem. Znane są bowiem wypadki odratowania zatrutego po 5—6 godzinnym stosowaniu sztucznego oddechania.

Celem otrzeźwienia skrapia się twarz wodą z octem, — a gdy przytomność wróci, podaje się czarną kawę lub mocną herbatę z winem.

Zwrócić też należy odrazu uwagę na jamę ustną, którą należy oczyścić dokładnie, a język wysunąć nazewnątrz.

Wreszcie, gdy zatruty odzyska przytomność i zacznie oddychać, należy go ciepło okryć, przykładając równocześnie do stóp butelkę z gorącą wodą.

Dalsza kuracja należy już do lekarza. (R.)

w mistycznym szale. Napis: Wiara jest szkodliwa, jeszcze szkodliwsza od wina.

Jak wygląda ideał sowieckiego chłopca? O tem pouczy nas inna kartka elementarza. Cto zziarsko wyglądający pionier (czyli harcerz). W ręku trzyma parasol — symbol niewzruszonego materializmu — i skutecznie zasłania się przed strugami nauk religijnych, które płyną z ust trzech popów (naturalnie znowu typy zbrodnicze). To znowu czerwony traktor zwycięsko posuwa się naprzód, obalając po drodze cerkiew, dzwonnice i przy sposobności dwóch kulaków = wsteczników.

Pomysłowości Lidze Bezbożników nie brak. A przecie jej sekretarz jeneralny, Emiljan Jarosławski skarży się, że natrafia ustawicznie na mniej lub więcej widoczne objawy religijności. Szczególnie odporne na propagandę ateistyczną są urzędzajne stolice na południowy wschód od Moskwy. W ostatnich czasach stwierdzono tam nawet powstanie kilku nowych sekt, opartych na doktrynie chrześcijańskiej. Niedarmo Kściół uczy, że człowiek ma wrodzony „talent religijny“.

Jan Szarzyński

## Ateistyczny alfabet

Nigdzie może nie doprowadzono propagandy do takiej doskonałości, jak w Rosji Sowieckiej. Literatura, malarstwo, teatr są tam prawdziwym przeciwieństwem sztuki dla sztuki. Wszystko jest obliczone na apoteozę walki klas, pohańbienie burżujów, gloryfikację proletariatu wojującego i — co najbardziej oburza — na wykorzystanie z dusz religij.

Obecne księgarnie poświęcone tej propagandzie, wykłady, filmy, odpowiednio skonstruowane sztuki teatralne — wszystko to srodki, zmierzające do jednego celu. Wszelkie pojęcia metafizyczne mają zniknąć a w ich miejsce zapanować materializm.

Szczególną uwagę zwracają bolszewicy na dzieci. Nauczyciele i często pojawiający się inspektorzy mają polecenie zwalczać u nich pojęcia religijne i wszelką myśl o Bogu. Czynią to nieraz przy pomocy prymitywnych sztuczek, obliczonych na dziecięcą naiwność: Módl się do Boga, żaby ci zesłał cukierka. Widzisz tuc nie dotateś. A ja ci daję cukierka. Masz, ale zapamiętaj sobie, że niema żadnego Boga.

Kiedyś miałem sposobność pisać na tem miejscu o „gwiazdkowych wydawnictwach ateistycznych“ tj. o wymierzonych przeciw religii książkach dla dzieci. Ale nie przypuszczano na tem. Jakiś członek Ligi Bezbożników wpadł na pomysł użytkowania dla propagandy elementarza. W najbliższym czasie wprowadzone będą w najbliższych klasach szkół powszechnych i przedszkolach miłe książeczki następującego typu.

Przy każdej literze obrazek i jedno zdanie, złożone z wyrazów zaczynających

się od niej. A więc przy **B**, widzimy czarną miotłę, która odmiata Biblię i ikonę, a przy tem napisane: „**B**rostje, bratcy, bogów bojat sa“ (Bracia, nie bójcie się już bogów). Ostatnią literu alfabetu jest **ja**. Ilustruje ją rozwidlony język żmiji, wysuwający się z ust głowy o wstrętnych rysach przyozdobionej biskupią mitrą. **J**adowitawo jazyka jarost'jarka“, czyta-

my obok (Szal jadowitego języka.) **W**, przyozdobione jest następującym obrazkiem. Kapitalista w cylindrze i z monoklem, oparty a z rysami zbrodniarza, trzyma w ręku koneweczkę, z której płynie struga płynu, nazwanego religją. Płynie na postać w szatach wschodnich tnie go w twarz szablą. Obok kobieta wybija pokłony, a mężczyzna tańczy, biczując się

## „Ciężka woda“ i „ciężki wodór“

Dużo pisało się w swoim czasie o odkryciu tzw. „ciężkiej wody“, dokonaniem przez uczonych amerykańskich Lewisa, Warburna i in.

Jakkolwiek cała sprawa nie wyszła dotychczas poza obręb żmudnych a kosztownych studjów laboratoryjnych, — to jednak już dziś przewidzieć można, że odkrycie to może wywołać poważne zmiany, jeżeli nawet nie zupełny przewrót w całej chemji, a może i w terapii współczesnej.

Jak wiadomo, „ciężka woda“ posiada normalny skład chemiczny H<sub>2</sub>O, tj. dwa atomy wodoru i jeden atom tlenu, — z tą jednak różnicą, że jej ciężar molekularny wyraża się cyfrą 20, zamiast normalnego ciężaru 18. Różnica polega na tem, iż w skład „ciężkiej wody“ wchodzi tzw. „izotopy“, tj. atomy wodoru, posiadające ciężar atomowy dwukrotnie wyższy od normalnego.

Uzyskać można ciężką wodę drogą długotrwałej elektrolizy wody zwyczaj-

nej, — przyczem jak doświadczenia wykazały, woda zwyczajna zawiera wodę ciężką w stałym stosunku około 1:5000.

Znane nam też są właściwości owej „ciężkiej wody“: jej ciężar gatunkowy wyraża się cyfrą 1.1056, jej punkt wrzenia jest przy 101.42°, a punkt marznięcia przy 3.8°. Wiadomo nam również, że proces fermentacji w wodzie ciężkiej ulega znacznemu opóźnieniu lub nawet zupełnemu zahamowaniu.

Natomiast nie wiemy dotąd nic zupełnie o jej działaniu — szkodliwym czy dodatnim — na organizmy żyjące, w szczególności na organizm ludzki — i w tej dziedzinie otwiera się dla uczonych nowe, obszerne pole pracy i doświadczeń.

Niemniej interesująco przedstawia się jednak i druga kwestja: kwestja owego „ciężkiego“ wodoru, izotopu normalnego wodoru, a więc posiadającego ciężar dwukrotnie wyższy.

Dzięki syntezie organicznej zdołano

wyprodukować setki i tysiące rozmaitych substancji, w skład których wchodzi wodór normalny, o ciężarze atomowym 1. Otóż zastępując w tych substancjach wodór normalny wodorem „ciężkim“, otrzymamy nowe substancje, — o tym samym zasadniczo składzie chemicznym, ale przypuszczalnie o innych zupełnie właściwościach. Może to dać początek jakiejś nowej zupełnie chemji i doprowadzić do całego szeregu nowych odkryć. A możliwości są tu niemal nieograniczone, skoro uprzytomnimy sobie, że w molekułach, zawierających w swym składzie więcej atomów wodoru, można będzie dowolnie jeden, dwa, lub więcej atomów zastępować kolejno wodorem „ciężkim“, otrzymując w ten sposób za każdym razem inny, odrębny produkt.

Pierwsze próby w tym kierunku przeprowadzono już właśnie na wodzie: skoro skład chemiczny wody wyraża się formułą H<sub>2</sub>O, — zatem można teoretycznie wyprodukować jeszcze jedną odmianę wody, „półciężką“, złożoną z jednego atomu wodoru normalnego i drugiego atomu jego „izotopu“ o podwójnym ciężarze atomowym. Faktycznie też taką „półciężką“ wodę udało się wyprodukować drogą laboratoryjną.

Ale idźmy dalej: jak wiadomo, alkohol zawiera w sobie sześć atomów wodoru. Ież zatem rozmaitych jego odmian można wyprodukować, zastępując kolejno jeden lub więcej tych atomów wodorem „ciężkim“! Jakie będą cechy i właściwości tych nowych produktów, jakie będą miały znaczenie dla człowieka, — oto pytania, których rozwiązanie zainteresuje już nie tylko uczonego teoretyka.

Tożsamo dotyczy w jeszcze większej mierze preparatów leczniczych, w skład których wchodzi wodór w takim czy innym związku chemicznym. I na tem polu przewidywać można liczne, a doniosłe odkrycia.

Z krótkiego tego szkicu wynika, że eksperyment laboratoryjny, interesujący początkowo tylko szczupłe grono teoretyków-uczonych, może wywołać zasadnicze zmiany w całej chemji współczesnej. I o ile sama „ciężka woda“, jak dotąd, nie ma żadnego praktycznego zastosowania, — to odkrycie „ciężkiego“ wodoru uważać należy za fakt bardzo doniosły w rozwoju wiedzy ludzkiej.

## Cośnieceoś o rękawiczkach

Historja rękawiczki jest niemal tak stara jak historia ludzkości. A była rękawiczka przez długie wieki wyłącznym atrybutem właśnie — pici brzydkiej. Człowiek pierwotny, skazany na ciężką pracę w polu, wystawiony na mrozy, deszcze i zima, zmuszony był sporządzić sobie jakąś odpowiednią ochronę na ręce, — do czego służyła mu skóra odpowiednio spreparowana.

Pierwsze wzmianki o rękawicach spotykamy już w starożytności: ojciec Odyseusza, Laertes, używał ich dla ochrony przed ostrymi kamieniami i kłującymi roślinami podczas pracy w ogrodzie.

Za czasów Cicerona i Owidjusza noszono w Rzymie ciepłe rękawiczki sięgające aż do łokcia, dla zabezpieczenia przed zimnem.

W średniowieczu rękawice stają się częścią składową rycerskiego rynsztunku. Sporządzone z tego samego metalu co i cała zbroja, są oznaką godności rycerza. Z tego też okresu czasu pochodzi wyrażenie „rzucenie rękawicy“, brane wówczas dosłownie. A rzucenie takiej żelaznej rękawicy było rze-

czą naprawdę poważną i ważką!

Stopniowo rękawiczka zyskuje coraz bardziej na znaczeniu: od XII wieku wchodzi ona w skład stroju koronacyjnego władców; u duchowieństwa staje się symbolem czystości.

Nieco inne przeznaczenie ma rękawiczka we wiekach średnich w Anglii. Utał się tam zwyczaj, że oskarżony przesyłał przed rozprawą sędziemu parę rękawiczek — jako symbol swej niewinności. By zaś sędziemu przekonać o tem jeszcze skuteczniej, — napełniał owe rękawiczki złotemi monetami.

Konserwatywna Anglja, pielęgnująca tak troskliwe dawne zwyczaje, do chowała i ten tradycyjny zwyczaj w pewnej, odpowiednio zmienionej postaci.

Oto lord - major Londynu otrzymuje parę białych rękawiczek w dniu w którym w jego okręgu sądowym nie wpłynęła żadna skarga, w którym to dniu zatem wszyscy obywatele, zamieszkalni w jego okręgu, są „niewinni“.

Kunszt rękawiczny doszedł zwłaszcza w republice weneckiej do szczytu

rozwoju. Rękawiczki stają się prawdziwymi arcydziełami, zdobnemi w przeszliczne hafty, w perły i drogie kamienie.

Stopniowo powstają fabryki rękawiczek we Francji, Anglii, Hiszpanii. Do niesłychanej perfekcji dochodzą rękawicznicy w Irlandji: sporządzają oni rękawiczki tak cieniutkie, delikatne i lekkie, że można było parę zmieścić w łupinie od orzecha włoskiego. Do dziś jeszcze poszczególne cechy angielskich rękawiczników mają orzech włoski jako swe godło.

Francja od wieków już dzierży prym na polu wyrobu rękawiczek. Od wieków już utarło się powiedzenie, iż do sporządzenia dobrej pary rękawiczek konieczną jest współpraca trzech królestw: Hiszpanji dla wyprawienia skóry, Francji dla skrojenia jej i Anglii dla uszycia.

Dziś Francja nadaje ton całemu światu, a rękawiczki francuskie, — mimo silnej konkurencji fabryk duńskich i angielskich, — stanowią zawsze najwyższą kreację i pozostają celem marzeń każdej kobiety. (kr.)

# Majówka na Krzemionkach

## Rękawkowe swawole wesółków krakowskich

Do zabawy i do tańca, jakoteż do wszelkiej swawolnej rozrywki skora młodź krakowska skwapliwie korzysta z każdej nadarżającej się sposobności, aby dać upust swemu żywiołowemu temperamentowi, skłonności do zawadactwa, rozmiłowaniu w nastrojach amoroso oraz wrodzonej wesołości.

Zawsze wesoly, skory do wypitki i bitki, pełen animuszu i niefrasobliwej beztrioski Krakowiak sam o sobie śpiewa:

Niech się co chce dzieje,  
Krakowiak się śmieje,  
Byle lykna, piwa,  
Już i mina żywa.

Hu! Ha!

Zwłaszcza we święta oddają się Krakowianie nałogowo wszelakiego rodzaju zabawom i uciechom, przy których temperatura ostatecznie podnosi się pod wpływem często a gęsto wychylanych „ampulek“ z alkoholem, sprowadzających napór energii do mięśni, a polot fantazji w zaprószone mózgowice.

Ze wszystkich zaś świąt najwięcej okazji do wesołych libacji, suto urozmaiconych wędzonym mięsiwem i smakowitemi arcydziełami sztuki kulinarno-cukierniczej następczą święta Wielkanocne — równocześnie obfitujące w swawolne zwyczaje, jak np. topienie Marzanny, dyngus i śmigus, połączony z najrozwiąźlejszymi zbytkami, oraz świąteczne kiermasze odpustowe.

W Krakowie w Święta Wielkanocne największą frekwencją cieszą się wielkie zabawy ludowe pod gołem niebem, jak Emaus na Zwierzyńcu i Rękawka na Krzemionkach, mające także charakter najwcześniejszych majówek.

Są to pierwsze ekspedycje, jakie zaśnieżyły w czasie zimy w domowych pieleszach mieszczuch, podejmuje na jono przyrody.

O ile dopisze pogoda najbliższe okolice Krakowa zaroją się od świątecznych wycieczkowiczów, a żartobliwie nastrojony obserwator będzie miał sporo sposobności do złowienia na swój film wspaniałych okazji wyhodowanych w krakowskich matecznikach Dulszczyzny.

Jeśli zwykłą niedzielę można sobie tak pięknie urozmaicić, i tak miłutko uprzyjemnić, to cóż dopiero w uroczyste Święta Wielkanocne.

Zresztą Rękawka, ten najbardziej charakterystyczny obchód krakowski sięgający w zamierzchną przeszłość dziejową, cieszy się tak wielką frekwencją mieszczuchów i przedmieszczan, iż z biegiem czasu przybrała charakter „trzeciego święta“, a raczej „półświęta krakowskiego“, obchodzonego hucznie, a wesoło i jako ludowe igrzysko na wzgórzach Krzemionek.

Z jakim to rozkosznym wzruszeniem starsza generacja „krakowskich dzieci“ wskrzesza w swej wyobraźni ów przedziwnie ruchliwy, różnobarwnością barw szalejący obraz dawnej Rękawki z przed 40-tu laty, kiedy to jeszcze zabawę ludową na Krzemionkach w powielkanocny wtorek urozmaicał groteskowo-frywolny obyczaj rzucania darów na głowy przedmiejskiemu społeczeństwu i żebrakom rozlokowanym na spadzistości wzgórze.

Niby czarnoksiężką różdżką wyczarowane, zaludniają urwiste stoki Krzemionek arcycharakterystyczne typy przedmiejskich andrusów, toczą-

cych zawzięte boje o fruujące ponad ich głowami obwarzanki, bułki, pomarańcze, jajka, orzechy, serdelki i pierniki.

Ów dawny, przepyszny typ andrusa zawadkajki powoli zanika.

Jakiż niezwykły widok przedstawiały na stokach Krzemionek te ruchliwe grupy, tworzone przez rozmaite ludwinowskie, czy pradnickie „wybijokna“, kleparskie „muchy“ i „baki“, czarnowiejskie czy łobzowskie „kindry“, podgórszczyńskie „dusielce“ oraz zwierzyńskie i krowoderskie „zuchy“.

Pograżeni w ogień walki o łakomą zdobycz, wyrzucają ją sobie nawzajem, pętracząc się i koziołkując z góry na dół, wśród chóralnie wznoszonych okrzyków przez ich rywali zajmujących niżej położone stanowiska:

— Górą panocku, górą!!

Równocześnie inne grupy, zajmujące mniej dogodnie stanowiska, przyczepionych do skalistego zbocza zwolenników łatwego polowu, drą się w niebogłosy:

— Dołem panocku! Dołem!

A ponad tem rozigranym mrowiskiem pospólstwa krzyżują się, niby kolorowe rakiety ogni sztucznych na „wiankach“: ogniście migocące w promieniach słońca, kule pomarańcz, białe pociski jajek, wirujące w powietrzu owale obwarzanków, różnokolorowe kółka pierników, z przenikliwym świstem przeszywające powietrze, kulki orzechów. Czasem przemknie ponad głowami tłumu, budząc powszechną sensację olbrzymie grono czerwonych, zielonych i niebieskich baloników, które jakiś podochocony fundator zakupił i puścił w powietrze, ku niezmiernej uciechu uczestników zabawy, śledzących tęsknymi spojrzeniami szybującego majestatycznie ponad wieżycami kościołów krakowskich różnobarwnego olbrzyma.

Przy dźwiękach oryginalnej muzyki rękawkowej, na którą składają się rozległe melodie kataryn, orkiestrionów i harmonijek, świsty syren i trąbek, oraz chóralne wrzaski i piski gawiedzi, stojący na górze ponad stokiem zwartem kołem „szczodrobliw“ ofiarodawcy, podnieceni tym specyficznym rękawkowym nastrojem, miotają na prawo i lewo pieczywo, owoce, pierniki i inne... „dary“.

Od czasu do czasu urozmaicają wesołą zabawę zatracającą barbarzyńską epizody, co spowodowało, iż przed niespełna 40 laty barbarzyński ten zwyczaj „obdarowywania“ pospólstwa został zniesiony, a tradycyjna zabawa przemieniła się w kiermasz odpustowy, reżyserowany na krakowską modłę, z nielicznymi tylko oryginalnymi urozmaicheniami.

Wzdłuż drogi prowadzącej z podgórskiej dzielnicy miasta ku kapliczce św. Benedykta, wyrasta we wtorek powielkanocny istny las namiotów i kramów, sprzedających pieczywo, słodycze, zabawkę i dewocjonalia.

Szczególnie liczną frekwencją darzą świątecznie „zawiani“ wesółkowie improwizowane przybytki Bachusa, gdzie się sprzedaje piwo, miód oraz odpustowa limoniada, podejrzanej barwy i smaku.

Na górze w pobliżu kopca Krakusa, rozbijają swe szatry rozmaite odpustowe przedsiębiorstwa, jak np. „muzeum osobliwości“, huśtawki „amerykańskie“, parawany, poza którymi do-

konywa się migawkowych zdjęć fotograficznych i t. p.

Największym powodzeniem cieszą się karuzele, obsadane tłumnie przez przedmiejskie piękności i nasze mistrzynię sztuki kulinarnej zażywające pełnej wrażeń jazdy na konikach i w łódkach.

Clou zabawy stanowiły w ostatnich latach przed wojną — niby zabytek dawnych igrzysk ludowych — zapasy, wyścigi w workach, różne gry i zabawy, a zwłaszcza wdrapywanie się przez junaków przedmiejskich na wysoki, wysmarowany mydłem słup, z którego wierzchołka ponętnie powiewały poruszane silniejszym podmuchem wiatru: kielbasy, buty, kapot itd.

Ileż uciechy zażyli stojący dookoła owego słupa gapi, na widok rozpaczliwych wysiłków gramolącego się w górę wyrostka, przed którego oczyma majaczące... potężny krąg kielbasy, roznoszący woń wędzonego mięsiwa, mile lechzącą obficie alkoholem skrapiane podniebienia.

Już... już dosięga zwierzyńskie „zuch“ rękami pożądaną zdobycz, już ją musnął z lubością kilkakrotnie kończynami palców... gdy oto nagle opuszczają go siły i zjeżdża sromotnie po słupie w dół, witany huraganem śmiechu i ironicznych docinków.

Rzadko który z wytrawniejszych i zreczniejszych zapaśników wracał do domu zaopatrzony w zdobytą kielbasę lub z przewieszonymi przez ramię nowymi butami, czy też wystrojony w ściągniętą ze słupa kapotę.

Jak wiele radości i wesela wnieśli by dzisiaj w nory przedmiejskich mieszkańców wracający z podobnie zdobytymi darami zapaśnicy?

W przyzwoitem oddaleniu od miejsc owych igrzysk rękawkowych, na zielonym kobiercu murawy, strojonej w wiosenne ametysty sasank i topazy podbiału porozkładały się obozami grupki wesoło nastrojone, uczestników obchodu. Tu i ówdzie w takt rozległych dźwięków harmonii rozpoczynały się tany, których charakterystyczne epizody wskrzesza żartobliwy wierszyk W. Szymanowskiego:

Patrzcie! Majster z Kleparza,  
Wławszy w czubek to, owo  
Gdy sposobność się zdarza,  
Tnie oberka z majstrową.  
A poczciwa babina  
Pod ramieniem zuchwałca  
Polkę sobie wycina,  
Choć muzyka gra walca.

W ubiegłych latach obserwator tych choreograficznych „popisów“, należących do stałego repertuaru rękawkowych uciech, znajdował w nich zapewne — zamiast powyżej opisanego epizodu — raczej żywą ilustrację do zabawnych spostrzeżeń znanego humorysty Fe-Fe:

A czy znasz ty bracie złoty  
Nasze shimmy i foxtrotty...  
Nasze stępy, dzikie tanga,  
Które tańczy tu falanga.  
Tańce owe tańczą stróżki,  
Każmierz, Stradom i Grzegórzki,  
Tańczy andrus i dziewczyna,  
Starzec nawet się wygina.  
Przykleknęcia i wykrety,  
Gną się biodra, depczą pięty,  
Pot się leje. Lecz ochota...  
Niemasz brachu nad foxtrotta.

Wogóle teraz na Rękawce pocieszenie się spleta w oryginalną całość wzmożona obecnie po wojnie skwapliwość do zabawy i swawoli ze zdeformowanymi pozostałościami dawnego prasłowiańskiego obchodu.

Również wywód Łepkowskiego, który nazwę Rękawki wyprowadza od rak chwytających jaja i bułki, rzucane z góry, znajduje wielu zwolenników wśród nałogowych miłośników krakowskich zabaw ludowych. Pomysłowici rycerze drobnego przemysłu, pozbawieni obecnie sposobności ćwiczenia muskulatury rąk na stokach Krzemionek, używają ich sprawnie do innych ryzykownych rękoczynów, wśród ciasnoty napierających na nich ciał patników. Pośród rozbawionego tłumu ręce ich pracują gorączkowo... niejednokrotnie z lukratywnym sukcesem, w postaci „zwędzonego“ zegarka, sakiewki lub portfela...

Drobne te nieporozumienia na tle „wywłaszczania“ patników ze sakiewek i portfeli oraz doraźnej rekwizycji zegarków, nie zamazują jednak zbytnio ogólnej żywiołowej wesołości, jaka potężną symfonią śmiechu, pisków i chichotów, rozgwarem ożywionych rozmów oraz orgią rozpętanych temperamentów napełnia wzgórze Krzemionek.

A kiedy wreszcie z zapadającym zmrokiem syte igraszek i uciech pod gołem niebem, zaczynają rzesze odpływać ku miastu i tonąć w jego ulicach, równocześnie w pobliskich szyneczkach i kawiarenkach podgórskich przy kieliszu czy też „zalewanych kubkach“ wzmagają się wesołość i ochota, często przeplatana krakowską piosenką ludową: Tutaj podniecona alkoholem sikoreczka zwierza się poufałe:

Piękny kwiatek róży,  
Ale w rączkę kole,  
Niejednego chłopca,  
Wyprowadzę w pole.

Zachęcona otwartością swej rywalki, inna turkaweczka z zadartym noskiem dorzuca wniósł:

Jednego mam w głowie,  
Drugiego w serduszkach,  
Cóż kiedy nie w środku,  
Tylko na koniuszku.

Trzecia czarnobrewa żali się żartobliwie na niestałość mężczyzny:

Teraźniejsza młodzież  
Same bałamuty,  
Dwieście naraz kocha  
W przeciągu minuty.

W innym przybytku Bachusa, turniej śpiewaczy toczy się około kieliszka i jego społecznej doniosłości:

Kieliszek — braciszek,  
Kwatereczka — siostra;  
Ręka przyjaciółka  
Do gęby zaniosła.

Zmieniające się szybko „kolejki“ wpływają „cudotwórczo“ na polot fantazji:

Jaś pił do Walusia,  
Walus do Michała,  
Marjacka wieża  
Z nimi tańcowała.

Wreszcie „doszedł do głosu“ potężny, aczkolwiek nieco ochryply baryton, który zanim zakończył swe produkcje pod ławą, w proroczym przecuciu mających nastąpić wypadków, z całą siłą przekonania wygłosił swe pijackie... „credo“:

Na szynkwasię siejesz,  
A na basach mlócisz,  
Wnet w kozie wywiejesz  
I goły powrócisz.

LEKSYECKI ANTONI.



Szybko — bezpiecznie —  
wygodnie — tanio —  
oto dewizy  
Polskich Linji  
Lotniczych

# Z Polski o Polsce

## Propaganda przez radio w językach obcych

Czasy powojenne cechuje niezwykle silny rozwój środków propagandowych, wśród których radio zajmuje miejsce wybitne. Radio przenika swobodnie przez granice państw i może być słuchane niezależnie od kraju, a nawet części świata. Głos radia dociera bezpośrednio do najbardziej zamkniętych mieszkań, atakuje słuchacza w jego własnym domu, zmuszając często do wysłuchania tematu, który przedtem wogóle nie zajmował jego umysłu.

Nie dziwnego, że wszystkie niemal radiofonje stanęły do wysłuchania propagandy nie tylko wśród słuchaczy własnego kraju ale również i wśród obcych.

Zagadnienie nadawania przez radio odczytów w językach obcych jest trudne do rozwiązania w praktyce. Przecież radiofonia musi dawać przede wszystkim program zrozumiały dla większości swych abonamentów, a odczyty w językach obcych nie mogą być podciągnięte pod tę kategorię. Są jednak pewne względy wyższe, konieczności państwowe, kiedy radio musi zrobić wyłom w tej zasadzie i musi ponieść niezbyt ciężką ofiarę na ołtarzu dobra ogólnego. Ofiarę tę ponoszą również radiosłuchacze, którzy słysząc odczyt np. w języku nowogreckim muszą zrezygnować na ten czas z korzystania z radia.

Polskie Radio stosuje dawkanie odczytów w językach obcych w ramach, które w żaden sposób nie mogą krzywdzić dobrych praw radiosłuchaczy polskich. Z chwilą uruchomienia Raszyna, a więc stacji słyszalnej dobrze w całej Europie, odczyty w językach obcych narzuciły się radju jako konieczność.

Podstawą programową odczytów obcych była stale idea dobrego służenia sprawom Polski. To też często odczyt w języku obcym poruszał zagadnienia bieżące, natychmiastowe i aktualne, te zagadnienia, które wymagały natychmiastowej interwencji w sensie poinformowania o istotnym stanie stosunków celem przeciwdziałania mylnym mniemaniom.

### Odczyty angielskie

Odczyty zagraniczne w Polskim Radiu obejmowały szeroki krąg zagadnień od turystyki aż po problemy naukowe. Przed mikrofonami Polskiego Radia stawali jako prelegenci i Polacy i goście zagraniczni, nasi przyjaciele, którzy korzystając z pobytu w Polsce, bogaci w bezpośrednie doświadczenia, informowali z Polski o Polsce swych rodaków. Do takich należy Dr. Jan Zbinden, filozof szwajcarski, który mówił w Polskim Radiu po niemiecku o wrażeniach z pobytu w Polsce, do takich należy p. Aillen Alpen, która opisywała Anglikom Polskę widzianą oczyma Australijki. Również po angielsku p. Stanley Philipson informował swych rodaków o stosunkach gospodarczych polsko-angielskich.

Zagadnienia międzynarodowe z punktu widzenia polskiego oświetlał znakomity znawca prawa międzynarodowego prof. Ludwik Ehrlich w dwu odczytach angielskich: „Dobra wiara w stosunkach międzynarodowych” i „Rewizja traktatów i prawo międzynarodowe”.

Dorobek pracy polskiej, imponujący w perspektywie 15-lecia na różnych odcinkach, oświetlono w języku angielskim i francuskim. Po angielsku mówił na ten temat p. Tadeusz Ordon, po francusku zaś red. Stanisław Poraj. Również udział Polski w międzynarodowym wysiłku naukowym oświetlony był w odczytach obcych Polkiego Radia o wielkim fizyku polskim — Marjanie Smoluchowskim w związku z rocznicą epokowego eksperymentu: skroplenia powietrza mówią prof. Malarski ze Lwowa, zaś o naszej genialnej rodaczce Marji Curie Skłodowskiej w

laboratorjum i w domu informowała Anglików p. Romana i Dalbrowa.

Z odczytów angielskich wymienić jeszcze należy odczyt p. Tadeusza Ostrowskiego „Polskie Koleje Państwowe”, p. Red. Maksymiljana Goryńskiego o „Polskim morzu” i prof. Dr. Walerjana Goetla „Chrona przyrody w Polsce”.

Wielka ilość odczytów angielskich nadawanych przez Polskie Radio nie jest przypadkowa. Opinia angielska jest najbardziej poinformowana o sprawach polskich i o tem, czem naprawdę jest odrodzone państwo. Pozatem radiosłuchacze angielscy reprezentują sześciomiljonową rzeszę, która jest bardzo wdzięcznym terenem propagandowym.

Z odczytów w innych językach wymienić należy czeski odczyt p. Witolda Bunkiewicza „Romantyczność ziemi polskiej” rumuński prof. Biedrzyckiego „Turystyka w Polsce” i włoski prof. Jana Liwoczyńskiego „Piękno Polski”.

Odrębnie traktować należy odczyty w języku nowogreckim. Zdawałoby się, że propagandowe ich znaczenie jest nie wielkie z powodu małego rozpowszechnienia tego języka. W istocie jest odwrotnie, gdyż radiosłuchacze greccy nie posiadając własnej rozgłośni z wielką chęcią

zainteresowaniem słuchają odczytów przez radio w swym języku i są bardzo wdzięczni Polskiemu Radiu, że od czasu do czasu nadaje prelekcje specjalnie dla nich przeznaczone.

### Esperanto propaguje naszą pracę

Do odczytów w językach obcych należą również odczyty w języku międzynarodowym — esperanto. Esperantysty są idealistami, którzy chciwie łapią na swych odbornikach rozrzuconych po całej kuli ziemskiej każde słowo radjowe wypowiedziane w ich dźwięcznym języku. Odczytów esperanckich w roku 1933 było 27. Poruszały one najbardziej różnorodne zagadnienia. Teksty pisane po polsku przez różnych autorów tłumaczył w Krakowie znany esperantysta polski p. Tadeusz Hodakowski i wygłaszał je następnie przed mikrofonem. Z ważniejszych odczytów wymienić należy prof. Leona Chwistka o „Kulturze duchowej Polski”, Dr. F. Burdeckiego „W 50-tą rocznicę skroplenia powietrza przez uczonych polskich”.

O rozslawionym w całej Europie hajnalu marjackim mówił Dr. Jerzy Dobrzycki, o Fryderyku Chopinie Dr. Józef Reiss,

o Sobieskim pod Wiedniem Tadeusz Hodakowski.

Specjalnie podkreślić należy troskę esperantystów o wykorzystanie radia w kierunku propagandowym. Nie tylko słuchali chętnie odczytów, ale sami próbili o nadanie im prelekcji na pewien określony temat, który im wydawał się niezbyt jasny. Z tej troski wyrósł odczyt Tadeusza Hodakowskiego pt. „Toruń i Kopernik”, gdyż esperantysty chcieli, aby w języku esperanckim poinformowano cały świat o polskości Kopernika i o polskości jego rodzinnego miasta Torunia.

Esperanto spełnia w jednej dziedzinie olbrzymią rolę. Ociemniałi których liczba po wojnie wzrosła, z powodu pewnych trudności w drukowaniu książek systemem Brailla w językach krajowych, używają esperanta jako środka porozumiewania się. Dla tych esperantystów przeznaczone były dwa odczyty, a mianowicie, kpt. Jana Silhama pt. „Esperanto a ociemniałi”, oraz p. Zygmunta Soboty „Są pomoc ociemniałych w Polsce”.

W dziedzinie propagandy turystyki polskiej również nadano kilka odczytów. Ozmwiono przed mikrofonem sporty zimowe w Polsce, dorobek Gdyni, kąpieliska w Polsce, oraz porę letnią, jako najwłaściwszą do zwiedzania Polski przez obcych.

Wspomnieć również należy o odczytach esperanckim poświęconym Witowi Stwoszewi w związku z jego jubileuszem obchodzonym w roku ubiegłym.

## Lawrence Arabski

W odzowie rzymscy nazywali się *Africanus, Asiaticus, Illyricus* od krajów, które podbili. Marszałkowie napoleońscy otrzymywali tytuły książęce od miejsca swych zwycięstw. Tak samo T. E. Lawrence nazywa się dziś w Anglii Lawrence Arabem (*Lawrence of Arabia*). Zaszczyt ten osiągnął organizując powstanie Arabów przeciw Turkom. Zaczął od partyzantki, ale wydzierał nieprzyjacielowi punkty oparcia, przerywał mu linie kolejową, łupił czy niszczył magazyny i wogóle zrzędał niezliczone szkody. W sumie działalność ta równała się zwycięstwu w walnej bitwie. Obliczają, że w czasie, gdy Anglia przygotowywała ofensywę na Syryję, ruchawka arabska trzymała w szachu połowę sił tureckich stojących na południe od Damaszku.

Około osoby tego oficera, który jako młody człowiek stał na czele wielkiego przedsięwzięcia, przywoził Arabom i tak poznał ich mowę, obyczajowe stosunki, że ani razu nie powięła mu się noga i że otrzymał od nich godność „księcia Mekki”, wytworzyła się już legenda. Przyczynia się do niej postępowanie samego Lawrence'a. Nie tylko nigdy nie nosi on orderów i podobno odrzucił ofiarowany sobie tytuł Sir, ale też nie chciał korzystać z otwierającej się świetnej kariery. Nie wrócił jednak do nauki, której poświęcał się przed wojną. Przywiązał się do wschodu i do niebezpieczeństwa. Zrzekł się stopnia pułkownika i przeczucił się do lotnictwa i tanków, rozpoczynając służbę od prostego żołnierza. Jak trafnie przypuszcza jego biograf, wie o tem, że gdyby osiadł w Anglii, np. w Oxfordzie, gdzie pracował przed wojną, nie znalazłby tam spokoju, gdyżby zaś pozostał w armji, byłby skazany na podawanie dalej rozkazów, którychby najczęściej nie uważał za rozsądne. Tym sposobem człowiek, co stworzył trzy królestwa, wołał być szeregowcem.

Jako szeregowca uwiecznił go Bernard Shaw — nawiasem mówiąc

imiennik, gdyż Lawrence wstąpił do nowej służby jako T. E. Shaw — w sztuce „Zbyt prawdziwe, aby było dobre”. W chwili niebezpieczeństwa nadepty szkocki pułkownik, w gruncie rzeczy bardziej interesujący się malarstwem, niż armją, traci głowę, a sytuację ratuje tajemniczy żołnierz, który oddawna przygotował wszystko na wypadek ataku dzikich.

W czasie swego braterstwa broni z Arabami Lawrence przywiązał się do nich. W ostatnich czasach przypominał się enunciacją, obiecującą im zmianę polityki angielskiej na niekorzyść protegowanych dotychczas Żydów. Wystąpienie nie miało charakteru urzędowego, a jednak nastąpiły po niem rzeczywiste posunięcia, które nieco poprawiły położenie Arabów palestyńskich. Nasuwa się nawet przypuszczenie, iż Lawrence był upoważniony do swego manifestu.

Kampanję w Hedżasie i Syrii opisał sam jej główny bohater w dwóch książkach, zatytułowanych „Siedm filarów mądrości” i „Powstanie na pustyni”. Druga stanowi popularne streszczenie pierwszej. Obie odznaczają się dużymi zaletami literackimi, są jednak tylko opisem wypadków, opartym na notatkach autora.

Wyszło już o Lawrence'ie parę książek, lecz żadna z nich nie odznaczała się gruntownością, ani ścisłością. — Można to powiedzieć dopiero o wydanym niedawno życiorysie przez kpt. Liddella Harta (T. E. Lawrence, Londyn. Cape, 1934).

Dowiadujemy się, że bohater pustyni przyszedł na świat w Walji jako syn Angloirlandczyka i szkockiej kalwiniki. Niezamożni rodzice nie mogli zdobyć się na wysłanie chłopca, objawiającego nieprzeciętne zdolności i zapal do nauki, do żadnej ze znanych szkół średnich. Uczył się jednak w domu z tak dobrym skutkiem, że uzyskał przyjęcie do Jesus College w Oxfordzie. — Prowadził tam życie ciche i odosobnione, pochłaniając masę książek. Studiował języki wschodnie, archeologię,

średniowieczną sztukę i architekturę. Stopień naukowy uzyskał za rozprawę o uzbrojeniu krzyżowców. Wczytywał się również w dzieła strategiczne. — Liddell Hart sądzi, iż opanował sztukę wojenną gruntowniej od jenerałów. Oni lepiej znali maszynę, jaką stanowi armja, jej kółka i transmisje, ale pozatem ustępowali we wszystkim temu amatorowi.

Pierwszy rok wojny spędził Lawrence w Oxfordzie, przygotowując sprawozdanie z wyprawy naukowej na półwysep Synaj. Wysłany później jako wojskowy do Karkemysz, potem do Egiptu, dostał się do *Intelligence Department* (wywiadu) w Kairze. Pełnił z wielką sumiennością pracę biurową, lecz marzył ustawicznie o czynnej służbie. Pragnienia spełniły się po roku, gdy oddano Lawrence'owi funkcje oficera łącznikowego między armją angielską, a powstańcami arabskimi, walczącymi z Turcją. Resztę już wiemy. Trzeba tylko zaznaczyć, że Lawrence, równie znakomity dyplomata, jak strategik, nigdy nie żądał oficjalnego dowództwa. Wołał doradzać, niż rozkazywać. I ten fakt może przyczynić się do zrozumienia jego późniejszej skromności.

Osobistość Lawrence'a wywiera pewną fascynację na młode pokolenie angielskie, które zdaje sobie sprawę z rozkładu parlamentaryzmu i obserwuje bacznie takie ruchy obce, jak faszizm lub hitlerizm. „Słyszałem”, mówi kpt. Hart, „że młodzież o nim mówi, młodzi poeci śpiewają o nim mesjanicznym tonem, jako o człowieku, który zdołałby, gdyby zechciał, wywieść potykającą się ludzkość z jej kłopotów”.

Wątpić jednak należy, abyśmy, niezadługo zobaczyli Lawrence'a na czele jakiejś nowej formacji faszystowskiej w Anglii. Raczej odegra on jeszcze wybitną rolę na wschodzie w razie, gdyby przyszły tam zamieszki lub wojna.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

# Wielkie postacie historyczne

## w rzeczywistości a w sztuce

Mijają miesiące, a w prasie wciąż jeszcze nie milkną odgłosy burzy, rozpętanej przez dr. Olgierda Górke w jego studiach „rewizjonistycznych”, dotyczących twórczości Henryka Sienkiewicza, jako powieściopisarza historycznego, — w szczególności zaś uderzających w „Ogniem i mieczem”, jako w to dzieło, które w najsilniejszym stopniu z pośród wszystkich utworów wielkiego pisarza przeszły — według dr. Górki — fałszywą interpretacją i fałszywym naświetleniem dziejów.

W sprawie fałszowania prawdy dziejowej przez Sienkiewicza, rozprawiają się z dr. Górka historycy, na tem zaś między spróbuje — zdala od sporów czysto naukowych — historycznych, sporów fachowych — dowieść zapomocą przykładów, czerpanych z dziejów wszystkich ludów i wszystkich czasów, — że gdyby Sienkiewicz fałszował historię naprawdę i gdyby ją fałszował w stopniu stokroć silniejszym, niż mu zarzuca to dr. Górka — jeszczeby to w niczem nie zmniejszyło wartości autora „Trylogii”, jako jednego z najznakomitszych w dziejach literatury świata — powieściopisarzy historycznych, właśnie historycznych...

Cicha walka między fachowymi, seminarnymi historykami, dla których przeszłość jest sumą wiadomości, zaczerpniętych z niezliczonej ilości źródeł i dokumentów, wiadomości, których jedynym przeznaczeniem jest ulegać dziesięciokrotnym analizom i rozbirom przy pomocy dziesięciu czy stu metod, — a między artystami, rozmilowanymi w przeszłości, jako w czemś żywym, bliskim, ukochanym i tętniącym prawdą, w przeszłości, która staje się podstawą ich twórczości, źródłem natchnienia, mocą zapładniającą wyobraźnię — walka ta toczy się nie od dziś. I nie dr. Górka jest pierwszym historykiem, który w imię tzw. „obiektywnej prawdy naukowej” rozrywa na sobie szaty i z oburzeniem rzuca „anathemę” na wielkiego artystę, jako że pewne przedstawione przez niego fakty w utworze literackim — a więc w dziele sztuki, w dziele wyobraźni — nie pokrywają się ze źródłami. Póki świata, póki kultury póty będą historycy w imię „obiektywnej prawdy”, którą tylko oni posiadli przy pomocy studjów nad dyplomatyką, numizmatyką, paleografją, hagiografją, shagistyką i statystyką — odmawiać prawa artystom przemawiać głosem wskrzeszonej przez nich przeszłości, — a jednocześnie nigdy nie przestaną rękochłani w uroku przeszłości artyści wyrzucać mętom nauki, że choć tyle wiedzy posiadli, tyle mieli możliwości i warunków — nie potrafili czy nie chcieli poznać przez siebie przeszłości ożywić, uczynić z martwej litery, z wyżółtego pergaminu, z suchej kroniki — tętniącą wszystkimi pulsami, barwami i tonami upajającej i wstrząsającej, bawiącej i pouczającej, wzruszającej i porywającej opowieści o życiu — nie pergaminów i palimpsestów — ale ludzi, ludzi takich samych, jak my, tak samo cierpiących walczących i kochających, — ale cierpiących, walczących i kochających w innych warunkach, w innej atmosferze — a przez to jeszcze bardziej podniecających naszą wyobraźnię nasze zainteresowanie.

Sensem i celem dzieła sztuki, poruszającego tematy historyczne, jest:

1) przekonać siłą sugestji artystycznej czytelnika czy słuchacza, że ludzie we wszystkich epokach zawsze jednak są ludźmi, — ale zarazem podkreślić, że

2) w innych epokach ci ludzie, tacy sami, co my dzisiaj, są przecież inni pod wpływem otaczających ich warunków: stopnia cywilizacji, rozwoju duchowego i t. d. i t. d.

Dzieło sztuki na tematy historyczne,

np. powieść historyczna nie zastępuje na miano dzieła sztuki, jeżeli nie potrafi spełnić pierwszego warunku — staje się wyłącznie pseudo-historyczną komputumową tandetą literacką; jeżeli zaś nie spełnia drugiego postulat — nie jest powieścią, czy dramatem historycznym.

Powieściopisarz historyczny powinien w swem dziele stworzyć żywych, prawdziwych ludzi, a jednocześnie powinien wytworzyć atmosferę, zgodną z duchem epoki, jaka go interesuje. Sienkiewicz odtworzył ducha epoki wojen kozackich i szwedzkich, jak żaden historyk nie potrafił tego uczynić — twórczość więc jego to najwyższej klasy beletrystyka historyczna. To że Wiśniowiecki nie był taki, jak w „Ogniem i mieczem”, ale zupełnie inny, w niczem nie zmienia atmosfery siedemnastowiecza, którą przepojona jest postać Wiśniowieckiego i która ją otacza: gorzejby było, gdyby Wiśniowiecki przemawiał po francusku, nosił włoskie stroje w stylu dworu Zygmunta Augusta lub popierał na tron polski Augusta Sasa. Powieściopisarzowi historycznemu nie wolno popełniać błędów historycznych, któreby osłabiały siłę sugestji twórczej, przy której pomocy autor przekonywa czytelnika o prawdziwości odtwarzanej przez siebie atmosfery ducha epoki. Tak np. mamy zaufanie do Sienkiewicza, gdy w „Potopie” opowiada nam, że Janusz Radziwiłł był to starszy, poważny człowiek, żonaty i miał córkę — Bogusław zaś w epoce najazdu szwedzkiego — to młody jeszcze kobieciarz i kawaler — trudno

nam natomiast wierzyć Henrykowi Rzewuskiemu, w którego „Ryccerzu Lizdejce” Janusz jest młody, a Bogusław — to poważna głowa rodziny. Całkiem zaś tracimy ochotę do patrzenia na przeszłość oczyma pisarza, gdy pisarz ten, jak Czacki w powieści „Barbara Radziwiłłówna, królowej (polskiej) w XVI wieku!!) krzyknął na dworzan:

— Stop!..

Tęgo rodzaju błędy historyczne dyskwalifikują pisarza. Jeżeli jednak odtwarzają on należycie ducha dawnej epoki (do odtworzenia ducha epoki należy też wiedzieć, że Pompejusz, Cezar, Ciceró, Katalina i Krassus nie zbierali się w młodoci na wspólne obrady i nie zgadywali, kto kim będzie w przyszłości, — jak również i to, by nie pomieszać Don Carlosa, syna Filipa II. hiszpańskiego, z don Carlosem — prezydentem do tronu w wieku XIX.), reszta — to jego dobra wola. I jeżeli napisze taki pisarz, że w noc wigilijną miał król ten a ten sen, w którym widział siebie pustelnikiem — to choćby stu historyków na podstawie najpewniejszych dokumentów dowodziło, że to nieprawda, że w tę noc król wcale nie spał, bo się przejadł i miał błąd żołądkowy — w niczem fakt ten nie umniejsza historycznej wartości danej powieści historycznej, w niczem bowiem nie wypacza prawdziwego obrazu omawianej epoki.

I rzecz znamienita: poza małymi wyjątkami (Juljusz Cezar, Aleksander Macedoński, Kolumb, Napoleon, u nas Bolesław Chrobry czy Kazimierz Wielki) pa-

mięć o wszelkich postaciach historycznych żyje w umysłach i sercach taka, jaką narzucili nie historycy, ale artyści. Cóż z tego, że Wiśniowiecki był inny: któż z nas zapomni jego walki z samym sobą pod krzyżem lub uczył w Zbarażu przed szturmem?.. I zapytajcie inteligentniejszego, czytającego chłopaka, jakim był Ryszard Lwie Serce?.. Czy tym zabijaką, warchołą, lekkomyślnym i kłótlwym awanturnikiem, jakiego zna historia? Nie — dla niego Ryszard — to wspaniały ryccerski bohater powieści Waltera Scota. A Joanna d'Arc?.. A Marja Stuart?.. — odpowiedzą wam tak, jak ich nauczył Schiller. W rzeczywistości historycznej Petronjusz, Duncan i Makbet szkoccy, Otello, Cyd, Wallenstein, wspomniana już Marja Stuart, książę Józef, Sułkowski, Robespierre, Tallien — byli zupełnie inni, niż ich przedstawiają Sienkiewicz, Szeffler, Corneille, Schiller, Zeromski czy Al-danow — lecz to, że historycy mogą się poszczycić, iż w pamięci milionów żyją żywym życiem te imiona — to zasługa wielkich artystów. I nic nie pomogą „rewelacje” i „odbrązowienia; — żyć będziemy i nadal będą w tej postaci, w jakiej ich stworzył geniusz i sztuka artysty. Wiemy, że istnieli Colbert, Fouquet i Cyrano de Bergerac: wiemy, że Colbert był porządnym człowiekiem, a Fouquet szuja — a jednak, gdy myślimy o nich, w pamięci naszej powstają odwrotności, stworzone przez Dumasa - ojca. A Cyrano? Nic nie pomogą monografie i biografje: na zawsze zostanie dzielny, czuły, sentymentalny i dowcipny, a subtelny właściciel ogromnego nosa, zostanie mił, stworzony i uniesmiertelniony przez Rostanda!

TEODOR PARNICKI

# Wyspy Filipińskie

Przed paru tygodniami telegramy przyniosły wiadomość z Waszyngtonu, że prezydent Roosevelt podpisał ustawę, zapewnijającą wyspom Filipińskim zupełną niezależność polityczną. Sporo jeszcze wo dy uplynie, zanim ustawa ta zostanie praktycznie zrealizowana, gdyż ustawa przewiduje, że parlament tamtejszy ma do 1 października opracować nową konstytucję; — w każdym jednak razie ustawa ma bardzo doniosłe znaczenie zarówno polityczne jak i ekonomiczne.

Filipiny bowiem były dotychczas najważniejszą kolonią zamorską Stanów Zjednoczonych — stanowiąc zarazem ich punkt oparcia w walce o supremację na Oceanie Wielkim, zagrożoną przez coraz silniejszą ekspansję japońską. Co się kryje za kulisami tej ustawy, nadającej wyspom Filipińskim zupełną niezależność, — trudno zgadnąć. Niewątpliwie — podobnie jak w Indiach, Indochinach, czy w koloniach holenderskich, — wchodziła tu w grę silna agitacja polityczna za odzyskaniem niezawisłości, podsycona z zewnątrz przez zupełnie obce, a wrogie czynniki.

Rzuśmy okiem na mapę południowo-wschodniej Azji: oblewa ją morze południowo-chińskie, stanowiące niejako przed-sionek Pacyfiku. Można by je, ze względu na jego kontury, nazwać Morzem Śródziemnym Dalekiego Wschodu, — a z nie-mniejszą słusnością i morzem między-narodowym. Wzdłuż jego wybrzeży rozsiadły się bowiem: Indie holenderskie, Indochiny kolonie angielskie na półwyspie malajskim, wreszcie wyspy Filipińskie — i najdalej na północy japońska Formoza. Dziś, kiedy ustala już rywalizacja mocarstw kolonialnych, kiedy każda niemal piędź ziemi jest już obsadzona — mocarstwa te, związane wspólnotą interesów, starają się porozumieć między sobą i uzgodnić swą politykę kolonialną — wobec pokojowego, ekonomicznego i politycznego wroga Japonji, i wobec jeszcze groźniejszego wroga, jakim jest prowadzona od paru lat agitacja komunistyczna.

A Filipiny ostatnio ogniwo ląducha na drodze do Japonji, odgrywają w tej sytuacji bardzo doniosłą rolę.

Wyspy Filipińskie od niedawna dopie-

ro weszły w orbitę zainteresowań ogólnoswiatowych.

Odkryte w roku 1521 przez słynnego podróżnika Magellana, (który na nich śmierć znalazł, zamordowany przez dzikich krajowców), nosiły początkowo mało zaszczytną nazwę „Wysp Złodziejskich”. Dopiero w roku 1543 otrzymały obecną nazwę, ku czci króla Filipa II.

Przez blisko cztery wieki stanowiły one kolonię hiszpańską; dopiero wojna hiszpańsko-amerykańska w roku 1898 zdecydowała o ich dalszym losie: traktatem paryskim Hiszpanja, pobita, zrzekła się swej suwerenności na rzecz Stanów Zjednoczonych A. P., które odrazu zajęły tam planową i rozsądną politykę ekonomiczną.

Po krótkim stosunkowo okresie dyktatury, już w roku 1916 uzyskały Filipiny pewną autonomję z własnym parlamentem i generalnym gubernatorem, mianowanym przez Waszyngton.

Równocześnie rząd Stanów Zjednoczonych nie szczędził wysiłków i kosztów, by tej swojej kolonii zapewnić jaknajpo-myślniejsze warunki rozwoju. Zakładano plantacje trzciny cukrowej, budowano fabryki, bite drogi i linje kolejowe, budowano setki szkół. Podniósł się znacznie dobrobyt i stan kultury, warunki sanitarne i higieniczne uległy polepszeniu, dzięki czemu śmiertelność wydatnie spadła. Import krajowych produktów do metropolji wolny jest od wszelkich ceł — taksamo i emigracja do Stanów Zjednoczonych nie podlega żadnym ograniczeniom.

Jednym słowem Filipiny stały się kwitnącą, bogatą kolonią, otoczoną czujną opieką potężnej metropolji, — a związane z nią dość luźno, na podobnych warunkach jak domnia angielskie ze swą metropolją.

Czy ludność tych wysp dojrzała już politycznie na tyle, że może sama swobodnie stanowić o swym przyszłym losie, — to pytanie dość trudne do rozwiązania.

Prawda, że ludność ta liczy zgorą 12 milionów głów. Są to jednak w olbrzymiej większości plemiona stojące jeszcze na bardzo niskim stopniu kultury. Prawda, że na największych wyspach tego archipelagu (objmującego z górą sześć tysięcy wysp i wyseppek), na Luzon, Mindanao, ujrzeć można olbrzymie, doskonale urządzone plantacje ryżu, bawełny, tyto-

niu, trzciny cukrowej, — że stolica Manila jest przelicznem miastem, gdzie prymitywny egzotyzm miesza się z współczesnym komfortem i postępem. Wszystko to prawda — ale wystarczy parę godzin drogi, by znaleźć się wśród prawdziwej, autentycznej dżungli, w głębi której żyją krajowcy, najzupełniej autentyczni „dzicy ludzie”, uzbrojeni w bambusowe łuki i zatrute strzały, żywiący się owocami i upolowaną zwierzyzną. Ludzie, którzy nie znają nawet lusterka, a za całe ubranie mają kawałek skóry opasany na biodrach.

Krajowcy zresztą mają tam — podobnie jak w Indiach — bardzo skromne wy-maganie, których zaspokojenie przychodzi im bez trudu, ziemia bowiem jest niesłychanie żyzna.

Specjalnością Filipin jest słynny na całym świecie szpagat „manila”, — oraz kapelusze słomkowe, bardzo poszukiwane dla ich lekkości i trwałości. A pozatem olej kokosowy, drzewo sandałowe, kopa, olejki i korzenie, — to obok ryżu, kauczuku i cukru główne artykuły eksportu, dzięki którym bilans handlowy tych błogosławionych wysp jest stale aktywny.

I jeżeli od czasu do czasu jakieś trzęsienie ziemi czy straszny tajfun nawiedzi którąś z wysp, siejąc śmierć i zniszczenie — to katastrofa podobna przechodzi szybko bez śladu w tym kraju, gdzie życie bujnie się krzewi, znajdując po-wym wymarzone wręcz warunki. (k. r.)

## Wbrew zwyczajowi

Gazety kanadyjskie, a za niemj amerykańskie i angielskie zanotowały niezwykły postępek oldermana (tj. jakgdyby ławnika lub asesora) J. H. Briena w Montrealu. Przed nowymi wyborami gminnymi zwołał on zebranie, na którym wyjął z kieszeni swoją odzież z kampanji wyborczej z przed dwóch lat. Zawierała ona 12 punktów. Brien czytał po kolei. Poko-zało się, że 8 obietnic spełnił, 4 pozostały niespełnione, co otwarcie przyznał.

— Widzicie teraz, com zrobił, a czemu nie zrobił. Czy jesteście ze mnie zadowoleni?

— Tak, tak — pospały się okrzyki z tłumu.

— Doskonale. Wobec tego kandyduje znowu.

— 0 —

# Symbioza (mutualizm) w przyrodzie

Symbioza, czyli mutualizm, jest jednym z licznych i ciekawych zjawisk, jakie obserwować możemy w przyrodzie. Przedewszystkiem określimy sobie co to jest symbioza; Symbioza opiera się na współżyciu dwu lub więcej organizmów, celem wspólnego czerpania korzyści, wynikających z niej dla ustrojów ze sobą związanych, oraz celem przystosowania się do warunków życia. Jako zjawisko przyrodnicze, niewątpliwie przechodziła symbioza cały szereg etapów swego rozwoju i drogą ewolucji doszła do takiego stanu, w jakim obecnie się przedstawia.

Geneza powstania symbiozy tkwi w prawie zachowania gatunku, oraz w dążeniu swego istnienia była ona zjawiskiem przypadkowym i czasowym tj. nie dającym się kierować żadnymi z góry określonymi prawami. Łączenie się dwóch organizmów, było początkowo krótkotrwałe i czasowe, bez widocznych korzyści dla tych organizmów, czy też z małymi korzyściami tylko dla jednego z organizmów. Z czasem symbioza stała się trwałą i dłuższą, w czym wielką rolę odgrywał dobór naturalny, który utrzymywał ją i potęgował do tego stopnia, że stała się ona koniecznością życiową, związanych ze sobą organizmów, tak, że w końcu rozwinęły się pewne właściwości, polegające na wspólnym świadczeniu sobie usług związanych ze sobą organizmów.

Obecnie przedstawimy kilka przykładów symbiozy, zachodzących w świecie organicznym. Klasycznym przykładem współżycia dwu organizmów, jest symbioza skorupiaka morskiego Pagarus Bernhardus (zwanego też pustelnikiem Bernarda) z ukwiałem Adamsia palliata. Skorupiak ten wyglądem przypominający naszego raka rzeczno, osiedla się w próżnej muszli mięczaka, chowając w niej cały odwłok, a wystawiając tylko głowę wraz z potężnymi kleszczami. W miarę wzrostu, porzuca małe muszle i wyszukuje większe. Muszla odgrywa tu rolę pancerza, ponieważ skorupiak ten, w przeciwieństwie do innych zwierząt swego gatunku posiada twardą skorupę chitynową tylko na głowie, odnóżach głowowych, tułwiowych, kleszczach i tułowiu, podczas gdy odwłok zbudowany jest ze skóry miękkiej.

Nie na tem koniec, na muszli w której żyje skorupiak, przytwierdzony jest ukwiał (Adamsia palliata), zwierzę zbudowane z substancji galaretowatej, barwy jasno pomarańczowej, z czerwonymi plamkami, należące do typu jamochłomów. Ukwiał ten podstawą swą przytwierdza się do powierzchni muszli, obejmując z góry i boków otwór muszlowy, przez który wychyla się głowa skorupiaka. Otwór ustny ukwiału otoczony licznymi czułkami, zwrócony jest ku głowie pustelnika Bernarda. W ten sposób połączone oba te organizmy, związane są ze sobą na całe życie.

Korzyść z tego połączenia jest następująca: Ukwiał należy do zwierząt, które żyją przytwierdzone do podłoża i nie mają możliwości poruszania się z miejsca na miejsce, co w wielkiej mierze utrudnia im zdobywanie pokarmu. Dzięki umieszczeniu się na muszli zamieszkałej przez skorupiaka, ukwiał zostaje przeniesiony z miejsca na miejsce, co więcej, — Pagarus w poszukiwaniu pokarmu rozrzuca nogami muł i piasek na dnie morskim, wywołując przy tem wir wody, dzięki czemu ukwiał chwytając może czułkami liczne drobne zwierzęta, służące mu za pokarm.

Korzyść jaką osiąga Adamsia jest aż nadto widoczna; nie gorzej wychodzi na tej spółce skorupiak. Adamsia palliata ma w swem ciele liczne utwory nitkowate, tzw. acontia, które może wysuwać na z-

wnątrz, przez specjalne otwory w skórze. Acontia zaopatrzone są na końcu pęcherzykami, zawierającymi ostrą ciecz. Pęcherzyki te zwane parzydełkami, opatrzone są włoskiem, mogą być wyrzucane na zewnątrz i w zetknięciu się z jakimś zwierzęciem, parzą je, a nawet zabijają. Są one doskonałą bronią przeciwko innym zwierzętom, które je skrzętnie omijają. Korzyść stąd dla pustelnika ta, że nie potrzebuje się on obawiać innych zwierząt i może bezkarnie prowadzić swój żywot. Jak ścisłą jest symbioza obu tych zwierząt, świadczy następujące doświadczenie wykonane w stacji zoologicznej w Neapolu. Do akwarjum w którym znajdował się pustelnik z przyczepionym do swej muszli ukwiałem, włożono próżną muszle, następnie wyjęto skorupiaka z muszli, którą wypchno skrawkami płótna. Pagarus próbował wejść z powrotem do muszli na której był przytwierdzony ukwiał, co się mu nie udało, próbował wyjąć z muszli płótno, również bez skutku. Po wielu daremnych trudach wyszukał Pagarus inną próżną muszle, na której nie było ukwiału, powrócił wobec tego do starej muszli, przy pomocy kleszczy czy ściągając jamochłona i przeniósł go na nową muszle. Doświadczenie to wielokrotnie powtarzane, zawsze kończyło się takim samym skutkiem.

Wśród ukwiałów mamy cały szereg przykładów symbiozy, bo zwierzęta te są specjalnie skłonne do zawierania spółki życiowej z innymi zwierzętami. Do ciekawych przykładów należy np. symbioza ukwiału z rodzaju Bunodes (z okolic Batawji), z niektórymi gatunkami małych rybek z rodzaju Trachichtys Shaw. Ukwiał ten opatrzone jest licznymi czułkami dochodzącymi do długości 2 cm. pośród których pływają całkiem bezkarnie małe rybki, pięknie ubarwione. Biolog Sluiter wykonał następujące doświadczenie z temi zwierzętami: do akwarjum włożył rybki z rodz. Trachichtys i większe żarłoczne, po krótkim czasie małe rybki zostały pożarte przez te większe, gdy natomiast Sluiter umieścił w akwarjum drobne rybki wraz z ukwiałem, oraz większe drapieżniki, małe rybki były zupełnie bezpieczne i niegroziło im żadne niebezpieczeństwo ze strony drapieżnych ryb, bo znalazły schronienie między czułkami ukwiału. Korzyść dla rybek widoczna, również i ukwiał dobrze na tej spółce wychodzi, bo rybki znachodzą pokarm, który przyciągają do ukwiału, gdzie gdy pokarm znajduje się pomiędzy czułkami rozrywają go na drobne części i zjadają, wspólnie z ukwiałem. Jak silną jest ta spółka, dowodzi fakt, że prawie zawsze przy wyjmowaniu z wody ukwiału, rybki

dają się złowić razem z nim, bojąc się go opuścić.

Również bardzo ciekawe są przykłady mutualizmu pomiędzy zwierzętami a roślinami, jak np. spotykane w krajach podzwrotnikowych współżycie pewnych roślin z mrówkami. Symbioza ta opiera się na tem, że mrówki (we wszystkich prawie wypadkach) znajdują na roślinie schronienie, a czasem i pożywienie, w zamian za co bronią roślinę przed szkodnikami owadami, zjadając je. Zdarza się często, że roślina przystosowuje swoją budowę do takiego współżycia. Symbioza pomiędzy mrówkami i roślinami, zbadaną została przez takich przyrodników jak Schimper, Wettstein, Treub i in.

Typowym przykładem współżycia zwierząt z roślinami, jest roślina Cecropia peltata, żyjąca w Ameryce południowej. Łodyga tej rośliny jest szeroka, wewnątrz pusta i podzielona na szereg komór, ułożonych jedna nad drugą. Jeżeli rozkroimy taką łodygę wzdłuż to zobaczymy w każdej komorze gniazdo mrówcze. Roślina ta przedstawia się więc, jak duży mieszkalny dom o wielu piętach, zamieszkiwany w tym wypadku przez mrówki. Ponieważ ściany łodygi są wcale grube i twarde, nasuwa się pytanie w jaki sposób mrówki dostają się do wnętrza łodygi?

Po bliższym zbadaniu rośliny, zobaczymy, że budowa jej jest niejako przystosowana do współżycia z mrówkami. Do tego u nasady każdego ogonka liściowego widnieje na powierzchni łodygi podłużny rowek, biegnący w kierunku pionowym i kończąca się u dołu małym wpukleniem do środka łodygi. Zagłębienie to znajduje się u nasady odpowiedniej przegrody komory, w miejscu zagłębienia ścianki łodygi jest bardzo cienka, i może być z łatwością przegryziona przez mrówki. Samica mrówki przegryza cienką ściankę i dostaje się do wnętrza komory, gdzie składa jaja, z których następnie wylęgają się mrówki. W ten sposób zostaje Cecropia zamieszkałą przez mrówki, które biegając po całej roślinie, bronią ją przed gąsienicami, mszycami itp. Mrówki więc spełniają niejako rolę straży, która broni roślinę przed różnymi owadami. Oprócz wspólnych wymienionych korzyści, Cecropia dostarcza mrówkom dużo pokarmu białkowego i tłuszczowego, z tzw. „ciałek Müllera", przez mrówkę szczególnie lubianych.

Symbioza pomiędzy mrówkami a roślinami jest bardzo rozpowszechniona i trafia się też w naszym klimacie bardzo często. Zjawisko to nosi nazwę myrmekofilii (mrówkolubstwa). Typowym przy-

kładem myrmekofilii w naszej florze stanowi roślina Melampyrum (pszeniec). Liście pszenicy wyposażone są w gruczołki, wydzielające słodką ciecz, bardzo lubianą i poszukiwaną przez mrówki. I tu powtarza się podobna historia jaką obserwowaliśmy u Cecropii, z tą różnicą, że tu mrówki pośredniczą jeszcze w rozsiewaniu rośliny. Dzieje się to w ten sposób, że nasiona Melampyrum podobne są z wyglądu do poczwerek mrówczych, a mrówki złudzone wyglądem nasion, zanoszą je do mrowisk, przyczyniając się w ten sposób do rozsiewania.

Poza tem mamy cały szereg przykładów mutualizmu w świecie organicznym np. u wielu niższych zwierząt jak pierwotniaki, wymoczki, które żyją w symbiozie z zielonemi roślinami, należącymi do wodorostów (glonów). Badania Geddesa, Entza i Brandta, wykazały jakie korzyści czerpią te organizmy ze współżycia ze sobą. Szczególnie Brandt wykazał między innymi, że wodorosty przebywające w ciele promieniowców, asymilują węgiel z powietrza, dzięki cienkiej powłoczce zwierzęcej, przez którą odbywać się może wymiana gazów. Produkt asymilacji — skrobia gromadząc się w nadmiarze w dorosłych zostaje przez nie wydalone na zewnątrz i przenika do ciała promieniowca, gdzie jako pokarm zostaje strawiona. Z drugiej strony wodorosty czerpią w zamian za skrobię dwutlenek węgla (CO<sub>2</sub>), który zostaje wydany z promieniowca jako produkt wyniku z oddychania, a który potrzebny jest wodorostom do procesu asymilacji. W ten sposób organizmy te się uzupełniają. Poza tem wodorosty nadają zwierzętom, z którymi żyją w symbiozie, kolor zielony, dzięki zawartym w sobie ciałkom chlorofilu, co w znacznej mierze przyczynia się do ochrony tych zwierząt we wodzie. (Do takich zwierząt należą np. Hydra viridis, Vortex viridis i in.).

Również pomiędzy roślinami samymi spotykamy liczne przykłady mutualizmu jak np. pomiędzy roślinami zielonemi a roślinami pozbawionymi ciałek zieleni np. między glonami i grzybami. Taką spółkę życiową stanowią porosty (Lichenes) z grzybami należącymi do workowców (Ascomycetes) i jednokomórkowymi zielonemi glonami. Korzyści wynikające z tej spółki, są podobne do korzyści jakie wynikają ze symbiozy promieniowców z wodorostami. Grzyby jako rośliny pozbawione ciałek zieleni (chlorofilu), nie mogą asymilować tj. wytwarzać skrobi w swoim organizmie, lecz muszą pobierać pokarm organiczny gotowy. Dzięki symbiozie z porostami, które składają się z niżej grzybnych poplątanych ze sobą, pomiędzy którymi znajdują się glony, zawierające ciałka zieleni, grzyby pobierają nadmiar materii organicznej wyprodukowanej przez glony, w zamian dając im wodę i sole mineralne wyciągane przez strzępki grzyba z podłoża.

Symbioza grzyba z porostami, jasno wykazuje jak wielką rolę odgrywa ona w przyrodzie, stając się poważnym czynnikiem zachowania gatunku. Dzięki bowiem niej, może się życie utrzymać nawet w takich warunkach, które nie wykazują nawet minimum warunków potrzebnych do egzystencji. (Znane są przykłady, gdzie na miejscach pozbawionych wody jak np. skałach, porosty prowadzą wcale dobrą egzystencję).

Możnaby jeszcze przedstawić niezliczoną ilość przykładów symbiozy w przyrodzie, jak np. wśród roślin motylkowych z bakteriami, czy też wśród wyżej postawionych organizmów, sądzę jednak, że przykłady tu podane wystarczą do wyrobienia sobie pojęcia o wielkiej i mądrej różnorodności zjawisk zachodzących w przyrodzie.

Tadeusz Kwaśniewski.

## Ciekawostki ze świata

### Pewny szlem — niezrobiony

Amatorowie bridża znają zapewne anegdotę o owym graczu, który tak sztucznie umiał rozdawać karty, że dał sobie 13 kart z jednego koloru i zapowiedział wielkiego szlema. Następnym razem jednak już go nie zrobił, bo go przedtem wyrzucano za drzwi. Wedle gazet amerykańskich coś podobnego zaszło rzeczywiście w Kalifornji, tylko z poważniejszym skutkiem, ponieważ rzecz działa się między tamtejszymi hodowcami bydła, znanymi z temperamentu. Jeden z graczy miał 13 kierów i zapowiedział wielkiego szlema w tym kolorze, ale zrobił tylko jedną lewą. Partner go zastrzelił.

### Smiertelna kuracja odtuszczająca

19-letnia artystka kabaretowa z Londynu Miss Vivian Bates Philox zaniętkowała się o swoją figurę i poszła do lekarza, który przepisał łaźnię parową, masaż i tabletki środka zwanego dekryzyl. Działa on zabójczo na wątrobę, stąd można go używać tylko bardzo umiarkowanie. Rzeczywiście doktor zalecił tylko niewielką ilość tabletek. Lecz Miss Philox tak

gorąco pragnęła schudnąć, że przekroczyła dozwoloną ilość. Po paru tygodniach zaczęła się tak źle, że udala się do sanatorium. Niestety pomoc lekarska była spóźniona i ofiara kuracji odtuszczającej umarła. Sprawa była przedmiotem rozprawy sądowej, ale sędzia uznał po przesłuchaniu wszystkich świadków, że winną była sama ofiara, ponieważ lekarz przepisał małą ilość tabletek, aptekarz ostrzegal przed ich zażywaniem bez porady lekarskiej, a fabrykanci dekryzylu umieścili na flaszeczkach podobne ostrzeżenie.

### Z łóżkiem po wygraną

W Toronie zgłosił się do biura włoskiej loterii państwowej pewien robotnik dla zainkasowania skromnej wygranej, wynoszącej 156 lirów. Pod pachą niósł deskę z łóżka, do której przyklepił bilet z kolektury z numerami. Nie miał w domu bezpiecznego schowku i bał się, że ktoś mu ukradnie karteczkę, do której przywiązywał wielkie nadzieje, więc tak sumiennie przykleił ją do łóżka, iż wygrawszy, nie mógł odkleić musiał więc łóżko rozebrać i zabrać deskę, 156 lirów wypłacono mu bez trudności.